

Mihalea Gašpar *Mitochondrialna Ewa* – wybrane fragmenty

tłumaczenie: Małgorzata Cholewicka (malgorzata.cholewicka@gmail.com)

str. 16-18

Czasami zasypiam do pracy.

Czasami oznacza do trzech razy tygodniowo.

Robię to specjalnie, żeby samej sobie przypomnieć, że zbyt duża odpowiedzialność jest obciążeniem dla każdego człowieka. Źle śpiam. Przez całą noc wyczekuję dźwięku budzika. Nawet gdyby budzik nie istniał, i tak bym źle sypiała, wyczekiwałabym znowu godziny o której muszę wstać z łóżka. Z powodu zbyt długiego skupiania się na wstawaniu nie mogę zapaść w głęboki sen, tylko spędzam noc na drzemce. Kiedy w końcu świta i kiedy budzik metalicznie wywrzaskuje piątą, wciskam palec wskazujący pomiędzy dwa pagórki z metalu i zatrzymuję budzika nos, który w nie uderza. Dopiero wtedy mogę zasnąć, bo czas wstawania akurat minął i już nie muszę go wyczekiwać. Nie znoszę godzin. Nie mogę powiedzieć, że czuję nienawiść do samych urządzeń i ich mechanizmów, nie odczuwam jej też wobec dygitalnych czerwonych numerów, których sekundy zmieniają się w ciągu dwóch mrugnięć oka, ani wobec ręcznych zegarków ze skórzanymi paskami czy tam metalowymi bransoletkami, gardzę godzinami, które urządzenia pokazują – samą jednostką miary czasu. Moja nienawiść do jednostki czasu zmienia się z godziny na godzinę, równoległe z jej upływem. O północy mniej będę nienawidzić liczbę 12 niż liczbę 1, do której mała i duża wskazówka zegara muszą się wdrapać, a kiedy w końcu ją osiągną, 1 będzie dla mnie mniej odpychające niż 2, które dopiero nastąpi.

Nigdy nie myślę dwie jednostki miary czasu do przodu, jestem w stanie gardzić tylko tą nadchodzącą. Łóżko w którym czuwać dopóki nie odezwie się budzik jest miejscem strasznych tortur. W ciągu dnia wygląda kusząco, drewniany zagłówek z ornamentem winogron wprowadza człowieka w błąd, że chodzi o cenne wiekowe łożo, chociaż tak naprawdę łóżko to zastaliśmy jako jedyny mebel, kiedy wprowadzaliśmy się do domu, którego była właścicielka powiedziała, że kiście powstały w czasie, kiedy jej teraz już świętej pamięci mąż - złamał nogę i rzeźbieniem zagłówka skracał sobie dni.

Kiść nad moją głową ma 32 winne grona. Czasami w mroku dotykiem wyczuwam 30 lub 33, ale najczęściej razy, jak dotąd, wyczułam 32, więc wierzę, że ta liczba jest prawdziwa. Poznają to łóżko nawet lepiej niż sam dom, całą noc szukam jego słabych punktów. Wiem, że jeśli obrócę się na lewy bok, zaskrzypi rama. Wiem, że poszewka na poduszkę ma siedem guzików i że brakuje w niej przedostatniego, poszwa na kołdrę puchową ma wszystkich 18, materac ma grubość około 8 kobiecych palców, pomiędzy wdechem a wydechem mojego

męża upływają zazwyczaj 4 sekundy, a z lampy na mojej szafce nocnej zwisa 30 szklanych łez. Wszystko, czemu nocą przyporządkuję liczbę jest nieme i nieruchome. Ruchome są światła reflektorów, ale one są rzadkie. Ruchomy jest też deszcz, ale on jest niestety niepoliczalny.

Deszcz jest dobry do określania rytmu, który różni się w zależności od pory roku.

Wiosna jest zupełnie bez rytmu.

Śnieg jest bezszumny i niepoliczalny, bezużyteczny dla mojego liczenia.

Do godziny 3 w nocy wszystkie rzeczy są ponownie przeliczone i wtedy zaczynam powtarzać rozkład jazdy: przyjazd z Sunji o godzinie piątej sześć, potem o godzinie piątej czterdzieści dwie, następny z Novskiej o szóstej dwanaście, z Zagrzebia pierwszy poranny o szóstej pięćdziesiąt jeden... największa przerwa wynosi godzinę trzydzieści siedem minut, a potem znowu przyjazd z Zagrzebia o czternastej pięćdziesiąt pięć, następnie o piętnastej pięćdziesiąt trzy i o szesnastej pięćdziesiąt trzy, a potem znowu, z najmniejszą przerwą, od razu po 3 minutach przyjazd z Sunji o godzinie szesnastej pięćdziesiąt sześć. W ten sposób skutecznie skracam czas. Nie chcę myśleć o niczym, czego nie mogę umieścić w zbiorze liczb.

Jeśli zakradnie się do mnie jakaś myśl, od razu ją zaczynam zrzucać po przypadkach lub rymuję.

Rym jest dobry do oswojania niebezpiecznych myśli, za pomocą rymu wszystkie niebezpieczne myśli przekształcam w niegroźne zwierzątka o długich ogonach: instytut – but, drut, ciut, śrut.

str. 21-24

Po raz pierwszy pociągiem podróżowałam jako mała dziewczynka, w wieku sześciu lat. Mogę dokładnie obliczyć, że miałam wtedy sześć lat i cztery miesiące, bo tej jesieni poszłam do szkoły w tym samym ubraniu, które było kupione na moją pierwszą podróż. Niebieska sukieneczka z koronkową lamówką i białym fartuszkim, tak białym, że w przedziale z brudnymi robotniczymi rękami i spoconymi karkami wyglądał nierealnie. Nie pamiętam pierwszego dnia w szkole, ale pamiętam tę biel przeciwstawną wszystkiemu w pociągu: umazanym oknom, za którymi obrazy zmieniały się w zawrotnym tempie, kurze w plecionej torbie, uwięzionej pomiędzy nogami wieśniaczki, która bezustannie kłapała podstępnie dziobem i której żywe oczy lustrowały mnie tak, jakby chciały mnie całą i białą połknąć, ogorzałym twarzom robotników, których wory pod oczami przypominały narysowane kredą okulary - przeciwstawną dłoniom mojej matki, która tę biel co chwilę wygładzała, zahaczając suchą skórą o koronkową lamówkę.

Ten biały fartuszek po raz pierwszy wystawił mnie na wstyd, w przedziale nie było miejsca na jego biel, ona należała do jakiegoś innego dziecka, w jakimś innym mieście.

Tego czerwcowego dnia matka moja zawiązała mi wokół talii podniosłość, drwiącą ze wszystkich obecnych, a ruchami swojej ręki ucierała nią brudnego nosa podróżnym. Po tym pamiętam swoją pierwszą podróż pociągiem.

Marina Jankovich nigdy nigdzie nie podróżuje pociągiem. Ona nawet nie mieszka w Capragu, gdzie mieszkamy Czerwony Kapturek, który powłóczy prętem i ja. Często mówi, że ojciec jej to Żyd i potrząsa przy tym ręką, żebyśmy wszyscy słyszeli brzęk bransoletek. Dźwięk jej bransoletek w małym kantorku, który wykorzystujemy podczas przerw jest niczym dziesiątki katedralnych dzwonów, które niezestrojone zapowiadają święto. Być Żydem w Sisaku to prawdziwy rarytas, Marina Jankovich pragnie być rarytasem i tu następuje koniec całej historii o jej ojcu, fałszywym Żydzie. Często wypowiada słowa takie jak *przemysłowiec*, *bankowiec* i *handlowiec*, robi to w ten sam sposób, co głodny, który wypowiada słowa *kotlet*, *kielbasa* i *puree*. Człowiek mógłby być liliputem, szachowym mistrzem świata, kanibalem, ale nikt i nic nie ma takiej wartości, jaką ma taki martwy Żyd w Sisaku, bowiem ojciec Mariny, fałszywy Żyd, od dawna jest już nieboszczykiem razem z jej matką i nie istnieje na tym świecie nikt, kto mógłby poświadczyć, że to faktycznie Żyd. Bycie Żydem oznacza posiadanie szczupłych palców pod których skórą można dostrzec białe żydowskie kości, elegancję płaszczka na wieszaku w szafie, małżowiny uszne pokryte jasnym meszkiem i nadludzką siłę, która dziś już nikomu nie jest potrzebna. Czasami usiłuję nie pamiętać maślanych udzisk Mariny, przyklejonych do przedniej szyby samochodu obcego mężczyzny pewnego wrześnieowego wieczoru, kiedy Czerwony Kapturek, który powłóczy prętem i ja szliśmy na piechotę do Capragu. Czerwony Kapturek, który powłóczy prętem ścisnął mnie z całej siły za nadgarstek, a jego brwi zamieniły się w połamane wierzbowe witki. Nie może nikt wiedzieć, ugryź się w język, rozkazał. I ugryzłam się w swój własny język. Następnie chciał, żebym pokazała język i rozkazał, żebym zrobiła to jeszcze raz. Dopiero po czwartej próbie z krawędzi języka popłynęła krew. Starzy ludzie wierzą, że wszystkie tajemnice musimy pieczętować krwią. Marina Jankovich prawdopodobnie nigdy nie przypieczętowała romansu krwią. Może nie był wystarczająco ważny albo była za młoda.

W pokoju w którym siedzę mieści się jeden stół, krzesło na kółkach i metalowa szafka, która do niczego nie służy, tylko jest stojakiem na kwiatki. Przedmioty, które zmienią przeznaczenie już nigdy więcej nie wracają do starego. Niezwykłe w przedmiotach jest właśnie to, że chociaż człowiek wie, że zmienione przeznaczenie przedmiotu jest mniej funkcjonalne, nic w tej kwestii nie czyni. Pod stołem znajduje się walizka w której jest akordeon. Akordeon należy do drugiego Czerwonego Kapturka i ja mu pozwoliłam, żeby trzymał go pod moim stołem, ponieważ obydwójce byliśmy pewni, że Marina Jankovich nigdy nie pozwoliłaby na trzymanie go pod swoim. Żydzi po prostu nie trzymają akordeonu pod nogami.

Zwykle w piątki i soboty po zmianie drugi Czerwony Kapturek chodzi grać na wesela i wtedy zabiera akordeon ze sobą, zwraca go zawsze w poniedziałek, ponieważ czasami gra też w tygodniu na innych zabawach. Dziwne, ale nie mogę go sobie wyobrazić jak gra na zabawach, bowiem drugi Czerwony Kapturek ma twarz, która nie cierpi uśmiechu i ciało, które nie znosi kroków tanecznych. Kiedy Czerwonemu Kapturkowi, który powłóczy prętem urodziła się wnuczka, drugi Czerwony Kapturek zagrał na tym akordeonie kilka piosenek. Wyjął go z futerału, przypiął pasy na zatrzaski, rozciągnął pofałdowany miech i nie poruszając ciałem zagrał. Jego usta były blade i ściśnięte, jakby trzymał w rękach ogromny ciężar. Przez jego skuloną sylwetkę i grymas na twarzy, nikt z nas nie odważył się poruszyć biodrami, staliśmy przed nim jednakowo znieruchomiali, niczym we wspólnej trwodze i każdy z nas pragnął, aby czym prędzej zakończył swoje granie, żeby wypuścić z rąk ciężar, nabrał powietrza i rozluźnił mocno zaciśnięte szczęki. Ale on grał i grał, rozkurczając usta tylko na pół minuty, w chwili oddechu między piosenkami i miażdżył swoim wielkim ciężarem i utrapieniem każdą nutę która wyciekła z instrumentu, zanim jeszcze zdążyła wypłynąć do naszych przewodów słuchowych.

W ciągu tygodnia często masuję stopy na szorstkiej skórze futerału na akordeon. On nigdy nie zmieni przeznaczenia, z niektórymi przedmiotami to po prostu niemożliwe. Mój kantorek, od tego w którym siedzi Marina Jankovich, dzieli cienka przegroda wysokości naszych głów i ja nieustająco słyszę brzęk bransoletek Mariny. Czasami kiedy upnie włosy widzę też jej włosy, a najczęściej widzę dym z papierosów Mariny. Czasami dym wije się tak jakby go wyciskała z tubki po tamtej stronie przepierzenia.

str. 25-27

O 16.12 przyjeżdża pociąg z Novskiej. Nie przygotowałam Andrejowi majtek i skarpetek do szkoły. Ani kanapki, ale Ivan mu po drodze kupi pączka, więc o to nie muszę się martwić. Martwić się muszę jedynie o bieliznę, której będzie szukał w koszach pełnych pogniecionych upranych ubrań. Ivan już nie ma pretensji o to, że nie układam czystego prania w szafach. Nie mogę się zmusić, żeby rozłożyć nasze ubrania na półkach, pozwijać skarpetki w pileczki, powiesić koszule na wieszakach, oddzielić obrusy codzienne od tych wielkanocnych i bożonarodzeniowych. Chwilowe z początku odkładanie tych czynności skończyło się tak, że niebawem wszystkie szafy były puste, a stosy ciuchów ułożone w plastikowych koszach, które nieustannie kupuję, potem i układanie stosów stało się zbyt dużym obciążeniem, wyczerpującą pracą, więc wkrótce zrezygnowałam, a nasze ubrania zamieniły się w zmielone sterty przeplatających się kolorów, bawełniane wymiociny, chaotyczny bałagan, któremu zabawny ton nadaje jakaś dziecięca aplikacja z koszulek Andreja.

Czasami, kiedy wyciągam z nogawki džinsów Ivana czysty biustonosz nachodzi mnie myśl, że dotykamy się jeszcze tylko tutaj - w koszach naszego prania, zaplątani szaleńczo w niemożliwych pozycjach, szczepieni przez elektrostatykę moich nylonowych rajstop i jego płaszcz, powiązani nitką z rozprutego szwu, która owinęła się wokół guzika na jego koszuli, jeszcze tylko tutaj żyjemy razem, w plastikowych koszach, zagubieni w kuchennych ścierkach, z bawełnianymi ciałami bez kręgosłupów, zawiązani w ciasne supły, zadławieni gumką ze spodni od piżamy, wypachnieni płynami do zmiękczenia, wybieleni wybielaczem z powodu zagubionej czerwonej skarpetki Andreja, w bawełnianej kaszy, która przyjęła kształt kosza i z której dziś rano wyjęto skarpetki Andreja, prawdopodobnie w desperacji, ponieważ sama wiem jak trudno jest odnaleźć parę skarpetek z krokodylem. Tymczasem nigdy więcej nie zamierzam układać naszego czystego prania w szafach. Szafom grozi zmiana przeznaczenia.

Pociąg z Novskiej przyjeżdża dokładnie o czasie. Dworzec jakby ożywał na pięć minut, tyle potrzeba, żeby wsiedli nowi podróżni i wysiedli ci, dla których Caprag jest celem podróży. Wszystko odbywa się szybko i według jasnego porządku, tylko tu i tam jakiś zbłąkany podróżny wypada z tego pędu. Z zagubionym wzrokiem i niepewnym krokiem wątpi przez chwilę dokąd pójść, po czym wlewa się w gorączkowy pęd.

Głowa Mariny wystaje znad przegrody. Chce się upewnić, że usiadłam i jestem gotowa do pracy. Jej głowa jest jednocześnie powitaniem. Żelazny wąż przed moim okienkiem jest wypełniony ludźmi. Kiedy jest pusty jasno widać, że chodzi o węża, kiedy w jego ciele są ludzie, wyglądają jak zwykli, ściśnięci ludzie w bezsensownym ciągu z którego tu i tam wystaje czyjaś jaskrawa kurtka. Po pionowych żebrach węża najczęściej wspinają się dzieci, a na jego najwyższej poprzeczce siedzą zakochane pary z nogami zakleszczonymi w żebrach na wypadek, gdyby straciły równowagę podczas miłosnych przekomarzanek. Czerwony Kapturek, który powłóczy prętem czasami bez specjalnego powodu uderza w jego żebra, tworząc metalowe tony, które rozsypują się po pustym holu dworca. Na Boże Narodzenie metalowego węża przykrywamy gałązkami iglaków i ozdabiamy kokardami, a na wiosnę jeden z Czerwonych Kapturków maluje go na niebiesko. Każdego roku zapowiada, że w przyszłym pomaluje go na żółto.

Wydaję bilety i tylko czasami sprawdzam czy dobrze usłyszałam godzinę powrotu. Nie podnoszę głowy, ale po głosie mogę stwierdzić czyja ręka sięga do miedzianej miseczki po bilet. W piątki głosy są zmęczone najbardziej, wypełnione westchnieniami robotników jak statki towarowe, w soboty uroczco wycieczkowe z pogodnymi nutami, prawie akwarelowe, w niedzielę wieczorem poważne i zgęstniałe niczym zacierki, w poniedziałki większość głosów to sama tęsknota, dziura w której przepadają i spędzają cały tydzień do następnego powrotu w piątek. Jest też trochę znajomych głosów, o nich nic nie twierdzą, tylko odwzajemniają powitanie, tak samo automatycznie jak maszynka z której wnętrzości wydobywają się nieskończone zwoje biletów.

Czasami z jakiegoś niewyjaśnionego powodu zacina się. Pozornie nic się z tego powodu nie dzieje, pociągi nadal przyjeżdżają i odjeżdżają, ale kiedy maszynka połknie

taśmę, moje dłonie się pocą, a policzki oblewa mi żar. Wąż staje się nerwowy i zniecierpliwiony, Marina ze strachem na twarzy zerka znad przepierzenia, nawet dym z jej papierosa nie wije się łagodnie, tylko staje się ostrym zygzakiem, świat w promieniu dziesięciu metrów zatrzymuje się, jakby właśnie nad ten jego mały kawałeczek nadciągało straszne niebezpieczeństwo, jakbyśmy Marina, wąż i ja byli zamknięci pod szklaną kopułą w której zaczyna brakować powietrza; świat się tak samo porusza nie zmieniając rytmu, a my topniemy zamknięte w swojej obudowie, przestraszone męczarnią maszyny, jedynie ściśnięte w kieszeniach pięści są żywe, zaciskają się i pocą, jakby paznokcie wbite w mięso dłoni miały uruchomić taśmę. Kiedy maszynie odbija się taśmą, wszyscy potajemnie wydechamy ciężar zgromadzony przez tę krótką chwilę w piersiach, wąż się rozluźnia, dym Mariny na nowo maluje miękkie ornamenty w powietrzu.

Znowu jesteśmy częścią płynnego świata.

str. 38-40

O miłości nie należy zbyt dużo myśleć, mówiła moja matka. Ona nigdy o niczym nie myślała dłużej niż kilka minut. Nawet jako staruszka. Ważne aby tutaj dodać, nieziemsko piękna staruszka. Jako kobieta w najlepszych latach była brzydka i często zadawałam sobie pytanie, co tak przystojny mężczyzna jak mój ojciec może w niej kochać. Ja ją oczywiście kochałam, tak jak dziecko kocha swoją matkę, ale moja dziecięca miłość była świadoma jej pulchnych policzków, grubej gęsiej szyi opasanej tłustymi strąkami mysich włosów bez blasku, które pełzały po niej niczym ospałe glisty, wylażące nieustannie z malutkiego koczka. Na jej bladej głowie tylko uszy były purpurowe. Latem z powodu upału, zimą z powodu chłodu. W swoim dorastaniu bałam się czy będę do niej podobna i każdego wieczoru przyglądałam się w lustrze swojej twarzy wdzięczna ojcu, że jego oczy i policzki są mocno przylepione do mojej buzi, a mój nos jest ładniejszą i mniejszą wersją jego nosa. Strach przed matczyną brzydotą nie odstępował mnie do dwudziestego roku życia.

Zadawałam jej często pytanie, do kogo jestem podobna i bałam się tej odpowiedzi, tego, że powie, że najbardziej jestem podobna do niej, że mamy takie same rysy twarzy i że śmiejemy się w ten sam sposób. Czasem wydawało mi się, że matka wie co mam na myśli.

Do jednej ładnej dziewczynki, odpowiadała. Było mi jej szkoda, więc mówiłam: Żebym chociaż była podobna do ciebie. W tym samym momencie przychodziło mi na myśl, że właśnie za to kłamstwo, kiedy dorosnę, Bóg ukarze mnie matczyną twarzą.

Przez większość swojego życia nosiła na sobie fartuch, w którym z przodu na wysokości pępka była naszyta kieszeń. Fartuchy się zmieniały, ale zawartość kieszeni pozostawała taka sama: korkociąg, chusteczka i kilka gumek. Czasami bawiła się tymi gumkami naciągając je na palec, rozciągając dłońmi lub po prostu wkładając na nadgarstek, po czym napinała je palcem i puszczała, żeby smagnęły ją po skórze. A potem, na progu

pięćdziesiątki, nagle zaczęła się zmieniać. Jej transformacja nastąpiła szybko, podczas jednej tylko pory roku. Skóra na twarzy nagle się napięła, oczy nabrały blasku, z cienkiej bezkrwawej kreski rozwinęły się mięsiste, rumiane usta, włosy posiwiwały, odkleiły się od tłustej skóry głowy i zamieniły w bujną białą grzywę. Z uszu zniknęła czerwień, która wlała się w policzki. Sama, także zaskoczona nagłą urodą, która objęła nie tylko twarz, ale i resztę ciała, zaczęła poruszać się sprężystej, nie zahaczając martwymi niegdyś biodrami o stół i kuchenkę, a paznokcie na jej rękach przypominały białe obrane migdały.

O jej zaskakującej urodzie nikt nie mówił. Może zauważenie jej w wieku pięćdziesięciu lat było wulgarnie albo piękno jej twarzy w tym wieku wydało się raptem szkaradne.

Mamo, jesteś ładna, powiedziałam kiedyś.

Jak kotka pod ogonem, odpowiedziała, uśmiechając się speszona.

Ojciec nastawił uszy niczym pies, który usiłuje odróżnić nowy dźwięk od tych powszednich, którymi jest otoczony, a potem dodał: Wygląda jak zawsze.

Ty nie zauważyłaś, że wygląda inaczej? Popatrz na te paznokcie. One też są inne!

Ojciec zmrużył oczy i wbił wzrok w czoło matki, a potem wziął jej rękę i jeszcze jakiś czas patrzył na paznokcie. Matka śmiała się, jakby chodziło o zabawę. Niedługo potem zrezygnował i powrócił do czytania gazety, a matka do siekania cebuli. Jeszcze parę razy zatrzymała się, łagodnie przechyliła głowę, podniosła brwi i przez chwilę obserwowała się w okiennej szybie. Wyglądała, jakby całe życie czekała na ten moment.

Jednak nawet w swoim nagłym i niewytłumaczalnym pięknie o miłości nie wypowiedziała ani słowa.

str. 41-45

W naszej rodzinie trudno było rozmawiać o czymkolwiek innym niż żelazo. Może to było powodem dla którego prawie nie na miejscu było zauważenie urody. Żelazo było nam wszystkim niejako sądzone, wciśnięte w nasze geny, w nasze ogrody, ubrania, letnie sadzonki, ciasta świąteczne, niedzielne kazania, prace domowe, nawet w miękkie pierze poduszek. Żelazo szło z nami z wizytą każdego rodzaju: na sylwestry, urodziny, rocznice, pępkowe, czuwania przy zmarłym, niedzielne odwiedziny u rodziny. Słowa żelazo i huta były wszczepione w powitania, rozmowy, sąsiedzkie obgadywania, zebrania pracowników, chóry kościelne, strajki, listy miłosne, sprzeczki i poważne kłótnie. Żelazne rury można było znaleźć na każdym podwórku, chociaż bez właściwej funkcji, leżały obrosnięte trawą niczym część obejścia, tak jak śliwy. Ułożone w poziome piramidy, siedliska zaskrońców i insektów, podpórki fasoli w ogrodach, z nich robiło się brzydkie ogrodzenia, spawało łoża małżeńskie, płotki dla kwiatków. Nic na świecie nie mogło z taką łatwością zmienić przeznaczenia jak

mogły to zrobić żelazne rury. Zardzewiałe żelazne śruby, przedmioty, które najczęściej można było znaleźć w dziecięcych kieszeniach i od których ręce stawały się żółte i śmierdzące. W dziecięcych rękach wyprostowane śruby były wojskami piechoty, położone - artylerią. Wojska różniły się łebkami śrub. Szczególnie w cenie wśród dzieci były grube śruby z nakrętkami. Wymieniały takie między sobą na słodycze albo sok. Jeśli śruba nie była nadgryziona rdzą, była cenniejsza niż jakiegokolwiek słodycze. Śruba wielkości pięści z grubym gwintem była stosownym prezentem urodzinowym. Specjalistyczne śruby, ukradzione z serii produkowanych za granicę oglądało się po kątach szkolnego korytarza jak prawdziwe skarby, ważyło w dziecięcych dłoniach ich ciężar, sprytne palce nawijały nakrętkę do samego łba śruby w jednej chwili, a jeśli przy tym się nie zacinała, taka śruba stawała się przedmiotem zazdrości.

Na mapie, przy nazwie mojego miasta znajdował się mały znak fabryki z trzema kominami ustawionymi według wielkości, a nieco większy umieszczono zaraz nad tablicą przy drodze, przy samym wjeździe do miasta. Dla każdego, kto wyruszał do naszego miasta z jakąś sprawą mogło ono pozostać bezimienne, oznaczone jedynie czarnym znakiem huty z kominami.

Jako dziecko bałam się słowa *huta* prawie tak samo jak i samej huty, która rozciągała się w szczerym polu wzdłuż torów. Rzadko tam chodziłam. A jeśli nawet bym się odważyła, podchodziłam jedynie do krawędzi pola, gdzie przestawała rosnać trawa. Przynajmniej ta zielona, bo pole wokół fabryki było pokryte szarymi obumarłymi badyłami, przykrytymi kurzem. Przez zieleni poza obrębem huty, wyglądało jakby ktoś w tym miejscu ostrym nożem wyznaczył prostokąt, a potem w tym kształcie usunął pierwszą warstwę trawy oraz zieleni niczym skórkę z pomarańczy. Samą fabrykę tworzył główny betonowy budynek z mnóstwem okien z szybami zasłoniętymi grubą warstwą kurzu oraz drewniane domki, które z mojej strony ogrodzenia, wyglądały niemal przyjaźnie i przytulnie, jakby w każdej chwili na ich progu miała pojawić się miła staruszka przepasana fartuchem z kieszeniami pełnymi świeżo upieczonych ciasteczek dla wnucząt. A jednak nikt nigdy nie wchodził, ani nie wychodził z tych mniejszych domków, chociaż zimą dymiło się z kominów. Fakt, dym ten był ledwo widoczny z powodu wielkich fabrycznych kominów, które niczym działa wymierzone w niebo wyrzucały gęsty smog. Bałam się, że kiedyś swoją czernią nasycą kolor nieba i zanim dorosnę, niebo w ogóle przestanie istnieć. Ten lęk był tak samo wielki jak tamten przed matczyną brzydota. Czasami te dwa lęki zderzały się i przychodziło mi do głowy, że byłoby przyjemnie zniknąć, zanim się urzeczywistnią. Już jako dziecko zwykłam redukować się ze świata, z naszego miasta, ze swojej rodziny. Takie myśli, że mnie nie ma, że nie istnieję, że wszystko dzieje się beze mnie, przynosiły mi krótkotrwałą ulgę, wytchnienie od strachu.

Te fabryczne kominy były zarazem czymś najwyższym, co kiedykolwiek widziałam, sięgały do samej krawędzi nieboskłonu. Poza tą granicą był zimny i czysty wszechświat.

W zimnie istnieje jakaś niewytłumaczalna czystość.

Wszystko oprócz małych drewnianych domków wyglądało przerażająco. Zwłaszcza grube kotły podobne do olbrzymich baterii, bez widocznych drzwi i okien. Każdy z trzech kotłów miał drabiny, które prowadziły na ich szczyt. Tak samo jak z drewnianymi domkami, nikt nigdy się po nich nie wspinał. Wiele razy próbowałam policzyć szczebelki na drabinach, ale gdzieś w połowie gubiłam się w obliczeniach. Olbrzymie kotły wypełniałam nocą swoimi lękami. W tej samej mieszaninie znalazła się moja babcia, której chwilę przed śmiercią zamiast łez popłynęły dwa potoki czarnej krwi, noworodek sąsiadki, z brzuchem przezroczystym i wezbranym od matczynego mleka jakby miał pęknąć, który rzeczywiście zmarł, zanim zdążyli mu nadać imię, rozkładające się zwłoki psa, którego wracając ze szkoły znalazłam przejechanego przy drodze, oko małego Srdżana, które po trafieniu z procy wypłynęło z oczodołu niczym jajko. I jeszcze wiele tego.

Mój ojciec znikał co rano w trzewiach betonowego budynku, razem z setką innych ojców i matek, a wychodził po południu z kilkoma nowymi śrubami w kieszeni.

Do moich lęków zaliczały się też dźwięki, które rozlegały się z wnętrza fabryki i z powodu których wyobrażałam sobie, że mój ojciec codziennie chodzi do piekła: czerwonego, żarzącego się, pełnego dymu i smażonych ciał, właśnie takiego piekła jakie wyobraża sobie większość dzieci. Z tego powodu kochałam go bardziej niż matkę, która zostawała w domu, daleko od miejsca tortur do którego on chodził, przy ciepłym piecu i z wielkimi miskami, które beztrudno przestawiała, spoglądając od czasu do czasu na ich zawartość. Huta była żywą bestią, która dyszała i stękała i w swoich wnętrznościach miażdżyła mojego ojca. Stojąc w kolejce przed wejściem do fabryki wyglądał drobnutko jak mrówka, podczas gdy w naszym domu jego głowa sięgała prawie do sufitu.

Kiedy urosłam nie bałam się już huty, ale nadal odkładałam nocą wszystkie swoje lęki do wielkich bateryjnych zbiorników.

Chociaż wraz z dojrzewaniem mój strach coraz bardziej słabł, pozostał zapach żelaza. Jego nie mogliśmy się pozbyć. On był przysyty do naszej skóry i nim było wysłane nasze wnętrze. Nasze ciemiona i paznokcie miały cierpki zapach, a czasami wydawało mi się, że także nasze wydechy pachną żelazem. Rano, kiedy się budziłam, moje dłonie i pachy pachniały korozją. Nie lubiłam pocałunków ojca. Były gorzkie niczym metal. Wszystko w naszym domu i w naszym mieście było przesiąknięte tym zapachem. Po deszczu wyparowywał z rozmiękczonej ziemi i wsączał się w nasze łóżka, darte pierze i frotowe prześcieradła, na których końcach moja matka miesiącami wyszywała zwiastuny wiosny, które potem podwijiała pod materac, tam gdzie ich nikt nie widzi.

Huta miała nad morzem ośrodek wypoczynkowy, dokąd jeździliśmy co drugi rok. W tych małych bungalowach wszystko było pachnące, nawet raczej ciasna, zaniedbana łazienka, w której co chwilę zatykała się muszla klozetowa była oczyszczona z woni naszego domu. Do czasu aż nie otworzyliśmy walizek i nie wyjęliśmy naszych rzeczy. Z walizek wyciekał zapach i rozlewał się po letnisku. Człowiek nie mógł już poczuć zapachu morza,

nagrzanych sosen i kremu do opalania. Zapach żelaza uporczywszy był niż to wszystko. Moja matka odkładała otwieranie walizek do drugiego lub trzeciego dnia po naszym przyjeździe nad morze. Zmuszała ojca, żeby dni spędzał w kąpielówkach, a sama zawijała się w prześcieradło z łóżka.

Niech ci skóra pooddycha, nie zakładaj jeszcze ubrań, jesteśmy nad morzem, na boga, ludzie chodzą goli, bycie gołym nad morzem jest zupełnie normalne, mówiła ojcu, który wstydził się swojej nagości i owijał w ręczniki plażowe. Nawet opalał się pokryty wyszywany ananasami i zachodem słońca.

I nasze posiłki były pełne metalowych smaków. Szczególnie młode ziemniaki. Mieliliśmy w ustach jeszcze gorące, próbując oddzielić ich słód od stalowego posmaku.

Nawet jeśli moja matka myślała o miłości, nigdy nie wypowiedziała tego na głos. Miłość do ojca wyrażała czyszcząc przez wiele godzin paznokciami drobne opiłki żelaza z jego roboczych ubrań. Tę pracę wykonywała każdego wieczoru. Kładła spodnie na stół pod żarówkę i przejeżdżała po nich dłońmi. Ponieważ opiłki wbijały się w tkaninę, ciężko je było znaleźć. Drobne, ledwie widoczne okiem kawałki przyklejała na taśmę klejącą. Patrząc jak cierpliwie wyciąga ostre kawałki z roboczych ubrań ojca, nigdy nie pomyślałam, że sama też będę spędzać wieczory na poszukiwaniu opiłków. W odróżnieniu od mojej matki, ja w tkaninie roboczych ubrań Ivana szukałam miłości. Znajdowałam tylko opiłki.

str. 63-65

Zegar ścienny głośno odliczał sekundy. Próbowałam myśleć o drwalu z plakatu, o jego ostrej brodzie i miękkiej flanelowej koszuli przez którą czuję jego mocne ciało, ale nie mogłam. Przeciągałam go z plakatu do myśli, ale on pozostawał papierowy i zmrożony, z rozpadającymi się od deszczu i rosy częściami oraz z grubymi bazgrołami, które flamastrem narysowały dzieci, czekając na szkolny autobus.

Może matka wytępiła moje myśli o nim za pomocą kilogramów cytryn.

Siódmego dnia przyjechał po nią ojciec i zabrał ją do domu. W drzwiach odwróciła się jeszcze raz i przeleciała wzrokiem po wyczyszczonych meblach, złożonej kołderce dziecięcej, oskrobanym zlewozmywaku. W rękach miała śmieci, które zamierzała wynieść przy wyjściu i zamiast pożegnania powiedziała krótko: "I już".

Zdanie, które matka często powtarzała i już. I już, po tym jak grabarze wyrównali łopatami pulchną ziemię na grobie babci, która zmarła we śnie. I już, po tym jak wyszła z konfesjonału pozbawiona ciężaru grzechu krótko przed Wielkanocą. I już, kaczka jest upieczona i podana z młodymi ziemniakami na talerzach, których używamy w niedziele. I już, trzymając w jednej ręce szczoteczkę, a na drugiej otwartej dłoni wciąż zakrwawiony ząb trzonowy, który wypadł z powodu paradontozy. I już, kiedy zerwaliśmy ostatnie jabłko i wrzuciliśmy je do drewnianej

beczki, w której już burzyły się na wpół sfermentowane jabłka zebrane z naszego sadu. I już, powiedziała po wdepnięciu w psie odchody po wyjściu z przychodni. I już, odprowadziwszy mnie do pociągu, który mnie odwiózł na studia do miasta. I już, przyprowadziwszy mnie z pociągu i usłyszawszy decyzję o przerwaniu przeze mnie studiów. I już, po tym jak wujek został prawomocnie skazany za to, że na chodniku przejechał chłopca. I już, kiedy huta zakupiła nową maszynę do walcowania bezszwowych rur i otworzyła nową linię produkcyjną. I już, jeśli poranek wstał pokryty warstwą śniegu i i już, gdy na wiosnę na drzewkach owocowych pojawiły się spiczaste pąki. I już, jeśli zabrakło papieru toaletowego. I już, po pierwszych krokach wnuka sąsiadki oraz i już, latami później, przy pierwszej jeździe rowerem, kiedy uszeregowani wzdłuż ulicy sąsiedzi dopingowali chłopca. I już, jeśli zabrakło zapalek do podpałki. I już, wiążąc na krawacie ojca bulwiasty i nieładny węzeł na święto pracy. I już, po tym jak krawat zjadły mole, a w nierozwiązany węzeł zostawiły jajeczka, z których na oczach, między palcami matki wylęgały się nowe. I już, po tym jak spustoszyły resztę zimowych ubrań. I już, po tym jak przeprowadziły się do torebek z mąką w spiżarni. I już, naostrzywszy nożyce krawieckie o krzemień. I już, po tym jak wysechł potok, a staszny smród pomieszał się z tym żelaznym oraz i już, kiedy zabiła żabę, która z powodu wyschniętego potoku zbłądziła do podwórkowego jeziora dla gęsi i rechotała tu w przerwach gęsiego gęgotu. I już, nałożyła żabę na łopatkę i przerzuciła przez ogrodzenie na końcu podwórka, gdzie wytrząsaliśmy popiół. I już, jeśli ojciec chrapał w chłodzie korony drzewa, i już, jeśli ojciec źle spał, i już, po tym jak mu zagrzała mleko z miodem lipowym na bezsenność. I już, jeśli ojciec nie spał już siedem dni i z opuchniętymi powiekami szukał powodu do kłótni, i już, kiedy kłótnia się zaczynała. I już, po jej zakończeniu. I już, gładziła po bokach suknię na przymiarce u krawcowej, i już, zawijała ją w białe prześcieradło i odkładała na najwyższą półkę w szafie, i już, przekładała przy okazji wykrochmalone ręczniki. I już, po występie dziecięcego chóru na kiermaszu wiosennym, przy oklaskach i z wilgotnymi oczami, wzruszona dzieckiem, które zaplątało się przy ukłonie i przewróciło przed publicznością. I już, ściskając dłoń Ivana przy zapoznaniu, i już, od razu jak Ivan poszedł do domu, i już, odpakowując prezenty, które jej przyniósł i starannie wkładając celofan pod okładkę książki kucharskiej, żeby się wyrównał, a potem odkładając żółtą kokardę do kryształowego wazonu w szklanej witrynie. I już było zdaniem, którym moja matka odprowadzała smutek, witała radość, zaczynała i kończyła czynności.

I już, powiedziała i wsiadła z ojcem do samochodu, myślami już daleko ode mnie. I już,
niczym kropka na końcu zdania.

str. 130-132

Wina jest niczym wampir. Żyje nocą, a w dzień śpi w naszym najmroczniejszym kącie. Tu i tam się przesunie, przewróci na bok i młśnie językiem, ale jej dzienny sen jest twardy i nieprzepuszczalny. Wraz z przyjsciem wieczoru rozpoczyna się jej przebudzenie, w godzinach

wieczornych jest jeszcze senna i niemocna, więc jej prawie nie odczuwamy. Im dalej kroczymy ku północy, w żołądku wina jest coraz większa pustka, burczy i grzmi, kurczy się na myśl o obfitej kolacji, która na nią czeka jak tylko człowiek, stół z pożywieniem pełen delikcji, zamknie oczy i uda się na odpoczynek. W ciągu dnia wina sennie przekąsza, ale nocą jest uczta. Wina może latami odżywiać się tylko jednym rodzajem pożywienia, czasami całe życie jada monotonnie, w innych zaś przypadkach jadłospis jest urozmaicony i często się zmienia. Niekiedy mała zwampirzona wina ssie niczym osesek, by z czasem solidnie przybrać na wadze. Jej żołądek jest rozciągalny do niesłychanych granic, mogą się w nim pomieścić różnorodne grzechy strawione nieoczyszczone, z kośćmi i wnętrznościami. Niektórzy ludzie mogą otwarcie mówić o tym czym karmią winę, inni natomiast milczą o tym jak zakłęci. Co więcej, swojego brzydkiego pupila ukrywają.

Taka wina Mariny, na przykład, także przychodzi na posiłek nocą. Ona ma dla swojego pupila kaloryczny posiłek. Usunięte dzieci są wysokokalorycznym posiłkiem. Marina jest matką czworga usuniętych dzieci i jednego urodzonego syna. Nienarodzeni nie są dziećmi, powiedziała raz, tylko płodami. Myślałam o płodach jabłoni przed domem rodziców, skarłowaciałe i cierpkie odpadają z drzewa zanim dojrzeją, a potem je skubią matczyne kury. Marina nie mówi o nocnych ucztach, nie są jak moje, one są tajemnicą, widać to po jej powiekach, które rano wyglądają jakby były dla niej o dwa numery za duże i po rozdrażnieniu, z którym walczy prawie do południa.

Wina Czerwonego Kapturka jest chuda, ma wąską talię i lekkie kości. Myślę, że ją źle odżywia, jej budowa jest zupełnie odwrotna niż jego. Kęsy-drobinki takie jak te, że ukrywa przed żoną i dziećmi część pieniędzy, które zarabia graniem na akordeonie oraz zawartość paczek, które czasem podbieramy.

Wina mojego ojca jest otyła. Czasami zatacza się z powodu tuszy, chociaż mój ojciec ukrywa, że ją tak obficie karmi. Odżywia się straconymi marzeniami, w których nie ma zapachu żelaza, tylko duże, przestronne mieszkanie blisko rynku z przesuwными oknami, które matka codziennie myje, żeby jak najlepiej mógł widzieć gałęzie lipy i szukających pod nimi chłodu niedzielnych spacerowiczów. Zwiewnymi spódniami dla matki z kwiatowymi deseniami na wystawach z plastikowymi manekinami o wielkich, gęstych rzęsach i nieruchomych fryzurach, lakierowanymi torebkami w których możesz się przejrzyć oraz poprawić fryzurę i wycieczkami do Włoch, do miasta zatkniętego jako pocztówka w naszej kuchni nad kuchenką, tłustego i miejscami wyblakłego od pary kuchennej, ale z wciąż jasno widoczną fontanną, przed którą stoją chłopak i dziewczyna, obydwójce z ozdobnymi chustkami wokół szyi. Dębową szafą, w której według alfabetu poukładane są różne encyklopedie i masywną sekretarą. Podłogami pokrytymi grubymi wełnianymi dywanami, po których chodzi się bez obawy, że zagubiony opilek żelaza wbije się w tkanę podeszwy. Winy mojego ojca są blahe, ale niezliczone i silne, z ich powodu nigdy nie śpi z rękami na brzuchu, tylko się niespokojnie rzuca i uderza ręką po twarzy, jakby odganiał owady. Myślę, że w ogóle

nie śpi, tylko odpoczywa z zamkniętymi oczami, zawsze czujny, żeby mu się nie przykradła jakaś nowa i głodna wina.

Twarzy mojej winy z powodu pokładów tłuszczu w ogóle nie możesz rozpoznać.

Potwór o pozamienianych rysach, składający się z dziecięcych dłoni i zarośnietej twarzy Ivana, z brzuszkiem chomika, któremu złamałam oparciem krzesła kark, a potem włożyłam do pudełka od butów ojca i zakopałam w ogrodzie kiedy miałam dwanaście lat.

.....-
str. 133-134

Bojan i ja nigdzie nie wychodziliśmy. To znaczy wychodziliśmy osobno, szliśmy do swoich spraw i wracaliśmy po południu. Dopiero tutaj, w jego domu, istnieliśmy jako para. Opodał drogi, przy pierwszym znaku drogowym stawaliśmy się dwojgiem obcych, mężczyznę i kobietę z różnymi kierunkami poruszania, ruchami ciała, językami i zapachami, jakbyśmy oboje właśnie przybyli z drugiego końca świata. Kiedy się rozchodziliśmy, on do matki, ja do pracy, zostawałam na świecie sama. Ivan był niczym cudze wspomnienie, coś, co nie należy do mojej pamięci, wydawało się, jakbym zapomniała rysy jego twarzy i barwę głosu, nie mogłam sobie też przypomnieć naszego domu. W tym odmęcie można było dostrzec mojego syna, moją matkę i mojego ojca. Wszyscy dalecy i obcy, zamgleni i ledwo widoczni, oddaleni ode mnie o mile. Przy skręcie w główną ulicę w drodze do pracy stanęłam przed wystawą salonu fryzjerskiego i zapatrzyłam się w swoją twarz. Zniknęły z niej rysy ojca, jakby jego gen się rozjuszył i zmienił kształt moich policzków, długość szyi, która teraz wydawała się dużo krótsza oraz ramion całkiem obcych, jakby nie należały do mojego ciała. Z brązowych oczu, które na mnie patrzyły z wystawy zniknęła twarz Julijany, stała się nieznajomą, z ledwie widocznym uśmiechem na twarzy, podobna do innych kobiet, które minę w ciągu kolejnych dziesięciu minut. Nieznana, ale żywa, składająca się z kości i mięsa, z siatką żył, w odróżnieniu ode mnie wypchanej słomą, z zasuszonymi wnętrznościami i ze szmacianym sercem, które się powiesiło, bo było za mało wypchane. Chciałam być Mną, tamtą Ja, która żyje w lustrze salonu fryzjerskiego, bez męczącego ciężaru winy, wyrzutów sumienia, niepewności w miłości. Różnica pomiędzy nami dwiema była taka, że Ja w lustrze wyglądała, jakby wiedziała dokąd idzie, pewna siebie stała pośrodku drogi w wystawie salonu, z rękami wzdłuż ciała, ze spojrzeniem ponad moją głowę, które rozlewało się gdzieś w dali. Wyobraziłam sobie jak do tamtej Ja w lustrze podchodzi dziecko albo ktoś, kogo bardzo kocha. Ja w lustrze nie pozwoliła, żebym zobaczyła do czego się uśmiecha, może krzyknęła na drugą stronę, aby do niej nie podchodzili, żebym ich nie mogła zobaczyć ta Ja, słomiana kukła w której koszarze twarze rodziny żyją niejasne, w stanie pary. Chciałam jej pokazać, nauczyć ją rozumu, strzelić ją w twarz dlatego, że mi nie pozwala zobaczyć, kto jej wychodzi na spotkanie, i że nie chce powiedzieć swojej drugiej Ja, dokąd się wybiera, i że mnie próbuje oszukać, że jestem odbiciem kogoś innego. Wtedy ruszyłam przez szybę salonu do tamtej,

która do mnie należy. Ona też podniosła gotowe do walki ręce. O dziwo, krew, która poleciała z mojego rozciętego czoła była słona niczym morska woda.